

## **Wiktor Reyzz-Rubini**

### **Juliusz – mój brat**

Urodził się 16 lutego 1924 r. Matka pianistka – pedagog. Ojciec z wykształcenia ekonomista, oficer W.P. Po przejściu do rezerwy prowadził firmę wytwarzającą namioty i sprzęt kwaterunkowy dla wojska.

Było nas troje. Juliusz najstarszy wychowywał się w Zakładzie Ojców Salezjanów w Różanym Stoku koło Grodna (obecnie Białoruś). Przyjeżdżał na Wielkanoc, w Święta Bożego Narodzenia, długie wakacje. Byłem od brata sporo lat młodszy i z okresu przedwojennego mam niewiele w pamięci. Natomiast siostra mająca lepszą pamięć wspomina, że z każdym jego przyjazdem zapanowywała w domu jakaś dodatkowa atmosfera radości i energii. Był zawsze pełen nowych pomysłów, ciągle gdzieś jakby się spieszył, wszędzie mu było pilno. Dokładne natomiast moje pierwsze wspomnienie datuję na któryś z pierwszych dni września 1939 r. Mieszkaliśmy przy ulicy Wilczej i któregoś dnia wczesnym rankiem wyruszyliśmy po chleb, który miał być wydawany czy sprzedawany gdzieś przy placu Zbawiciela czy Unii Lubelskiej. Stała tam już długa kolejka i ludzi wciąż przybywało. Wszyscy w porządku cierpliwie czekali do chwili, gdy nadleciały niemieckie samoloty. Nie pamiętam czy zrzucały bomby czy piloci strzelali z broni pokładowej. W każdym razie kolejka rozpierchła się. Kiedy nalot się skończył wszelka kolejność nie była możliwa do odtworzenia. Przed punktem wydawania chleba zebrał się przepychający się tłum. Brat polecił mi czekać na uboczu a sam wcisnął się w cizbę. Po jakimś czasie wyszedł trzymając bochenek chleba. Wróciliśmy na Wilczą z niełatwym w tamtych dniach do pozyskania wypiekiem.

Okres okupacji przechodziliśmy prawdopodobnie podobnie jak wielka część polskich rodzin. Młodsze dzieci jak przed wojną uczęszczały do dozwolonej przez

Niemców sześcioklasowej czy siedmioklasowej szkoły powszechnej, młodzież starsza uczyła się na niedozwolonych już, gimnazjalnych kompletach. W domu gdzie mieszkaliśmy mieszkała też rodzina Szabuniów. Rodzice i dwie córki. Młodsza Irena i starsza Hala, późniejsza sanitariuszka „Madzia” z kompanii „Maciek” batalionu „Zośka”. Halę-Madzię, późniejszą z męża Jankowską do „Zośki” wprowadzał mój brat. W mieszkaniu Hali nierzadko zbierała się rówieśnicza młodzież. Także i ja tam bywałem, bo przyjaźniłem się z młodszą siostrą Hali. Była muzyka z płyt, chyba czasami nawet tańczono. Brat często grał na pianinie. Grał ze słuchu na dwie ręce każdą zasłyszaną melodię. Nasza matka uważała, że dzieci powinny uczyć się muzyki i gry na fortepianie. Brat w okresie dzieciństwa jak mógł, to się migał. Siostrze powiedział, że to takie babskie zajęcie, a on będzie generałem. Matka po latach, sama przecież pianistka i pedagog, słysząc jak dorosły już syn i prawie samouk zmagał się z fortepianem grając zasłyszane, a niekiedy własne drobne kompozycje, skomentowała to kiedyś. „Gdyby chciał się uczyć jak nalegałam, być mogłoby, że zostałby geniuszem”.

W 1943 r. brat wstąpił, czy może raczej by o tym należało powiedzieć, że zaczął pracować, w Ochotniczej Straży Pożarnej. Zamieszkał też osobno i oprócz zwykłych rodzinnych spotkań regularnie przychodził do domu na obiady. Od czasu wstąpienia do Straży zaczął też chodzić wyłącznie w strażackim mundurze. Wizerunek w mundurze tak przylgnął do niego, że chociaż jego konspiracyjny pseudonim brzmiał „Piotr”, to nierzadko mówiono o nim „Julek Strażak”. Przykładowo Zofia Stefanowska-Traugutt, sanitariuszka „Zosia” z przydomkiem „Sadowa” z batalionu Zośka, kompania Rudy, pluton Sad, pozwoliła mi kiedyś zrobić notatkę z jej powstańczych zapisów. Niestety notatki nie mogę odnaleźć, ale treść jej, moim zdaniem wiernie, odtwarzam z pamięci. Oto ona. „...O śmierci Wacka już wiadomo. Przychodzi też druga godzająca w Sad wiadomość o śmierci Piotra, Julka Strażaka, który nie był z nami. Delegowany pierwszego sierpnia do ochrony dowództwa poszedł z Giewontem. Najbiedniejszy jest 200. Przecież to ich

chłopcy”. I tu moja osobista uwaga. Uważam, że określenie 200 zastępuje słowa: „II drużyna plutonu Sad”

Ostatni raz widziałem się z bratem w lipcu 1944 r. Mieliśmy w Milanówku pod Warszawą niewielki dom, w którym często spędzaliśmy letnie miesiące. W lipcu byłem tam z siostrą i pomocą domową (wtedy mówiło się służącą) Józią. Brat przyjechał z matką. Spędziliśmy razem dwa dni. Chyba sobotę i niedzielę. Były to jak pamiętam naprawdę rodzinne dni. Jednak zdaniem siostry brat nie był taki jak zwykle. Był jakiś bez uśmiechu, poważny, zamyślony. Nie chciał nawet pobawić się z psem wilkiem, którego lubił i który nieprzerwanie kręcił się koło niego. Zachowało się rodzinne zdjęcie z tych dni. Jest na fotografii, jak wówczas zawsze, w strażackim mundurze. Wrócił z matką do Warszawy, a ja z siostrą i Józią zostaliśmy w Milanówku.

Teraz muszę odnotować coś, czego moim zdaniem nie wolno mi przemilczeć, chociaż na pewno niektórzy ludzie będą na ten temat snuć różne dywagacje. Musiało to w każdym razie być 5 sierpnia, albo dzień, dwa, czy trzy później. Nie potrafię daty obecnie bliżej określić, a matka i ojciec dawno już zmarli. W którymś z wyżej wymienionych dni ojciec udał się do naszych kuzynów mieszkających w Alejach Jerozolimskich. Dowiedzieć się, co nimi się dzieje, czy żyją. Został tam na noc. W nocy we śnie ukazał mu się syn. Był w mundurze strażackim, stał wyprostowany jakby na baczność i powiedział. „Tatusiu, ja nie żyję”. Kiedy ojciec wrócił na Wilczą matka już wiedziała. Rozpaczała. Dotarła do niej przekazana przez wspomnianą wyżej sanitariuszkę „Madzię”, czyli mieszkającą w tym samym co my domu Halę Szabunia wiadomość, że brat zginął 5 sierpnia.

Po kapitulacji Powstania rodzice jak większość cywilnej ludności znaleźli się w obozie w Pruszkowie. Ale to inna historia. W każdym razie wszyscy dotarli do brata matki mieszkającego w Krakowie. Tam doczekaliśmy się wejścia Sowieców. Po przejściu frontu matka pierwsza wróciła do Warszawy. Dom na Wilczej chociaż bez jednej oficyny i częściowo zrujnowany szczęśliwie ocalał, miała więc

gdzie się zatrzymać. Ruszyła na „Gęsiówkę” gdzie według posiadanych wiadomości miał być pochowany syn. Na Gęsiówce był obóz dla jeńców niemieckich. Komendantem obozu był Polak. Zezwolił na poszukiwanie, dał nawet do kopania dwóch jeńców i przydzielił żołnierza do ich pilnowania. Zostały odsłonięte dwa, czy trzy groby, ale żaden z nich nie był grobem brata. Matka zamierzała szukać dalej, grobów było więcej, ale wyszedł zakaz dokonywania ekshumacji na własną rękę. W listopadzie 1945 r. nadeszło z Polskiego Czerwonego Krzyża pismo. Mam je przed sobą. Oto najistotniejsze wyjątki. „Potwierdzając posiadaną przez W Panią wiadomość, Biuro Informacyjne Polskiego Czerwonego Krzyża zawiadamia, że w prowadzonej ewidencji strat figuruje powstaniec Juliusz..... Jednocześnie komunikujemy, że zwłoki powstańców pochowanych na terenie Gęsiówki zostały częściowo ekshumowane na cmentarz Wolski w Warszawie. Nadmieniamy, że tożsamości ekshumowanych nie zdołano ustalić, gdyż brak przy nich jakichkolwiek dowodów, tym bardziej, że ekshumowano tylko szczątki zwłok. Wobec tego zachodzi możliwość, że syn W Pani znajduje się wśród ekshumowanych, oraz być może, że zwłoki syna W Pani są jeszcze dotychczas w mogile na Gęsiówce. O terminie następnych ekshumacji.....” Kierownik Biura Informacyjnego PCK / M. Bortnowska./

5 sierpnia w czasie natarcia na Gęsiówkę do ранego pierwsza dobiegła sanitariuszka „Lidka” z batalionu Zośka (Lidia Markiewicz – Ziental). Wspomina. Został trafiony kulą wystrzeloną z wieżyczki przez esesmana. Był przytomny. Odmawiał modlitwę „Ojcze nasz”. Prosił, żeby dać znać sanitariuszce „Magdzie” z kompanii „Maciek”. Żył bardzo krótko. Inna sanitariuszka, której pseudonimu i nazwiska nie pamiętam, a która po paru minutach dołączyła do sanitariuszki „Lidki” dodaje. Rana wlotowa na piersi była mała. Musiała to być kula dum dum, która poszarpała wnętrzności. Był przytomny. Modlił się. To wszystko co ja i inne przywołane osoby pamiętają. Jednak dla mnie to wspomnienie nie jest końcem.

Idąc śladem otrzymanego w 1945 r. pisma z Polskiego Czerwonego Krzyża, to gdyby z jakichkolwiek bądź powodów miałyby być dokonywane na cmentarzu Wolskim ekshumacje niezidentyfikowanych szczątków powstańców przeniesionych z Gęsiówki i gdyby przy którymś z tych szczątków znaleziono nieulegające łatwo zniszczeniu metalowe guziki pochodzące z munduru strażackiego, czy inne sorty, to mogłyby to być szczątki mojego brata. Mam zamiar udać się do Instytutu Pamięci Narodowej i prosić o pobranie mojego kodu genetycznego. Gdyby tego typu nadzieja się spełniła, to brat mógłby spocząć w kwaterze batalionu Zośka wśród koleżanek i kolegów, towarzyszy broni, albo na warszawskich Powązkach w rodzinnym grobie.